

PRZYJACIEL

Dwutygodniowy dodatek bezpłatny do „Katolika“.

Nr. 8.

Wtorek, 23-go Grudnia.

1902.

Z I M A.

Opadły żółtkłe z drzew gaju listeczki
Scieląc murawę warstwami swojemi,
Zwarzone mrozem przecudne kwiateczki
Smutnie swe główki zwiesiły ku ziemi.
Błękity niebios znikły skryte chmurą
Wiatr zimny, ostry, zaświszczal po lesie,
A wszech świat Boży tak straszny, ponury:
To zima idzie i śmierć z sobą niesie.
Nie brzęczą roje owadów w przestrzeni,
Nie słychać drobnych ptasząt świergotania,
W pięknych ogrodach nie widać zieleni,
Płowa powłoka naturę osłania.
Puchowych płatków tysiące, miliony,
Sypie się, kręci, ulata i wiję,
Czarnych przestrzeni zalega wygony:
To śnieg, co ziemię w całun śmierci kryje.
Za nim z północy skrzypiący, zszywniały,
Idzie mróz, wody kryształąc swem tchnieniem;
W uścisku jego świat martwieje cały,
I milkną twory zdjęte przerażeniem.
Ciagną w szlak długi ciemne kruków stada
Czarne ich skrzydła w powietrzu szeleszczą,
Na stepie wilków zgłodniała gromada
Wyje żałośnie swą pieśnią złowieszczą...
Napróžno biedne, zziębnięte ptaszyny
Kłują po śniegu zrozpaczone głodem:
Nigdzie ni muszki ni ziarna kruszyny,
Ni roślinności, z swym ożywczym płodem.
O jeżeli wtedy drogie moje działki
Przyfrunie ptaszek pod wasze okienka,
Rzućcie mu okrusz chleba maluteczki;
I z darów Bożych posypcie ziarenka
Nie stawcie się! Biednym, co od was pomocy żądają,
Wszak one proszą tak czule, tak ładnie,
Można-li zdradzać, tych którzy ufają?

Icek Harmider, felczer, u adwokata.

(Monolog).

Wielmożny panie adwokacie! Nie potrzebuje dużo gadać... mam trochę kryminalną sprawę, kawalek takiego interesu, co wcale nie jest bardzo przyjemny, a wszystko przez naszych kochanych doktorów... Ładne życie! Ładne czasy! Ty! Jak Wojtek Bałaban z Koziej Woli był chory, to oni nie pisali żaden protokół; jak Wojtkowi zrobiło się lepiej, to

też nie pisali protokół, ale jak Wojtek sobie trochę umarł, to zaraz zrobili cały gwałt! obdukcję, sekcję, protokół, sprawę! Że chłop umarł — wielka ciekawoszczo! Jabyłem chciał mieć tyle tysięcy, ile chłopów przez jeden rok umiera... Oj, ja nie potrzebowałbym rwać zęby, stawiać bańki, puszczać krew, golić komu kawalek gęby... To nie jest piękny fach — paskudne zatrudnienie, nawet jeżeli bez protokołu, ale z protokołem to już nie fach, nie zatrudnienie, ale całe nieszczęście! Niech-no pan adwokat słucha. Oni piszą protokół, oni robią sprawę, oni chcą, żebym ja w kryminalne siedział... Za co? Za to, że ja daję ludziom zdrowie, że ich ratuję w brzydkiej słaboszności, że się znam na medycynie? Aj waj, jak ja się znam! W całym miasteczku mnie znają, w całej okolicy znają i doktorzy, na moje nieszczęście, także mnie znają — i przez to jest cała ich złość. Oni zazdrośni są, że ja łapię chorych na ulicy, że piszę recepty, że puszczam krew, że przystawiam używane pijawki, że kaleczę bańkami, że podejmuję się robić operację, że... cha! cha! Panie adwokacie, oni też powiadają, że ja potrafię zrobić jątrzącą się ranę takiemu żydkowi, co do wojska ma iszcz, że potrafię popsuć mu ucho, albo oko, albo zrobić inny feler... Co oni nie powiadają! Oni są źli, co oni mają doktorskie patenty i do nich ludzie nie przychodzą, a ja nie mam doktorskich patentów i u mnie zawsze pełna izba chorych! Ja jestem tylko felczer, a oni wielkie doktory! Tylko felczer; zdaje się, marny żydek, wcale nie osoba — tymczasem kto mnie zna, to wie, że drugiego Harmidera, drugiego takiego medycynika w całym miasteczku nie znajdzie... Co Icek Harmider potrafi, tego dziesięciu doktorów, żeby ich do kupy złożyć, nie potrafi! Temu dwa miesiące, nasz pan burmistrz był bardzo słaby na zęby: trzeba mu było wyrwać jeden trzonowy. On mnie do tego zawołał! Dla czego doktora nie wołał? I nie zabawiło pół godziny — nie miał zęba! a jaki to był ząb! jaki ząb!... na moje sumienie... A jak na-

szego aptekarza ciotka miała wielkie bolenie i trzeba było kolo niej coś zrobić, to też nie wołali doktora, tylko mnie. Przecież aptekarska ciotka też osoba. Mogą się państwo spytać, czym słuszerował. Kto stawiał pijawki panu pisarzowi od sądu? — Icek Harmider! Kto smaruje nogę panu regentowi, jak mu lamany ból dokucza! — Icek Harmider... Kto stawiał cięte bańki księdzu wikaremu, jak on miał zapalenie płuc? — Icek Harmider... Wszystko Icek — leczył, pracował, fatygował się i, Bogu dzięki, burmistrz jest zdrowy, i aptekarza ciotka jest zdrowa i pisarz zdrowy, i ksiądz wikary zdrowy. Dla czego o tem nie jest pisany protokół, że stara Boruchowa umarła, choć był u niej jeden doktor i drugi doktor i później na konsylium trzech doktorów? Ha! Dla czego o tem nie ma protokół, jak o tym Wojtku Balabanie? Pan adwokat powiada, żebym ja szedł prosto do sprawy. Właśnie ja do niej idę... Powiadają, że ja jemu krew puściłem, temu kwartal, że na to są dwa świadki i znak na ręku... Mają dwa świadki, co niby widzieli, jak ja krew chłopu puściłem, a ja mogę zaraz postawić dwadzieścia świadków, co tego wcale nie widzieli! Co się tyczy znaku — jaki to jest dowód? Ile ludzi ma znaki na ręku! Co to jest znak? — znak nie jest. Do zrobienia znaku wcale nie potrzeba felczera... chory mógł się zadrapać, mógł się sam skaleczyć; a może ukąsił go jakiś robak, za wielkiem przeproszeniem pchła? Ale doktor się zawzięł, chce koniecznie protokół, no i jest protokół... On się już cieszy, że ja będę siedział w kryminale, że mi odbiorą felczerstwo... Niech on się cieszy. Tymczasem ja tu przyjechałem i wiem, że mnie pan adwokat wyratuje... Ja pieniędzy żalować nie będę — dam sto, dam dwieście rubli! Tylko niech pan adwokat tak gada, żeby doktor nic nie wskórał. Mnie nie idzie o koszt, ja się z doktorem później porachuję... tymczasem idzie o mój honor...

Pan adwokat chce wiedzieć całą prawdę... nu ja powiem... Ze chłop chory był, to jest prawda; że się leczył u tego samego doktora, co mnie skarży, naprawdę nie jest całkiem prawda; ale co to panu adwokatowi szkodzi, kiedy ja mam czterech świadków, co mogą przysiąc, że prawda. O tę krew, co niby ja miałem z chłopu wypuścić temu kwartal — to ja nic nie pamiętam. Może to trochę prawda, ale mnie się zdaje, że nie prawda, bo nie ma na to żaden dowód, tylko znak. Może być pytanie: kto zrobił znak? Albo ja wiem?... są inne takie ryzykanty między fel-

czarami. Ja nie ~~chcę~~ nikogo skarżyć, nie jestem żaden denuncyant, ale mi się zdaje, że tę krew puścił Berek Pistolet, drugi felczer z naszego miasteczka, co, będzie temu ze dwa miesiące, wyjechał z żoną i z dziećmi do Ameryki. On był golibroda medycyński i okropny ryzykant. Szynkarz tak piwa z beczki nie toczy. Czy on puszczał krew Wojtkowi, ja nie wiem... ale mam świadki, że on... On bardzo śmiały był! Ja sam się nieraz bałem, że on w kryminale skończy... On już tam w New-Jorku pewnie masę krwi puścił — taki gwałtownik!

Powłada pan adwokat: Czy ja mogę być pewnym moich świadków?

— To wszystko porządni obywatele; nie było zdarzenia, żeby oszukali kogo w takim interesie. Jeszcze jest, panie adwokacie, dwa punkty: pierwsze, że doktor złapał moje dwa proszki kalomel, co było w chalupie u chłopą; drugie, że znaleźli na chłopie ślady od pięćdziesiąt dwie cięte bańki, co niby ja jemu postawiłem. Powiada pan adwokat, że to źle?... Mnie się zdaje, że nie... Naprzód kalomelu, choć na papierku pisane, nie jest wcale kalomelu, tylko soda od burzliwy proszek. Chłopa bardzo paliło w gardle, więc ja mu dałem trochę sody z mojej własnej szafki. Papierek nic nie dowodzi; zawiąłem w taki, jaki miałem, nie patrząc, co na nim jest pisane. O analizę, co pan adwokat mówi, jestem pewny... Zkąd oni tam mogą znaleźć kalomelu, kiedy to jest sprawiedliwa soda?... Powiem panu adwokatowi prawdę, co ja zawsze daję chorym sodę... Czasem ta soda idzie za kalomelu, czasem za chininę, ale, na moje sumienie, powiadam, że choćby nawet za strychninę szła, to soda zawsze jest tylko soda. Więc ten punkt można rachować, że nie jest wcale punkt... Jeszcze idzie o bańki... to, panie adwokacie, tyle mi zaszkodzi, co moja soda choremu... Zresztą, jak człowiek ma czyste sumienie, to ludzka złość może go tylko zmartwić, ale mu nie zaszkodzi. Ja się przyznaję; te pięćdziesiąt dwie cięte bańki, postawiłem Wojtkowi Balabanowi na plecach moimi własnymi rękami — i zaraz potem, na drugi dzień, Wojtek Balaban sobie umarł.

Pyta pan adwokat: jak ja to mogłem zrobić? A ja pytam pana adwokata: jak ja mogłem to nie zrobić? Przecie miałem kartkę od doktora z drugiego miasteczka. Niech pan adwokat się przekona: „Proszę postawić Wojciechowi Balabanowi pięćdziesiąt dwie (No. 52) bańki cięte na plecach. Dnia... doktor B.“ Stoi wyraźnie, jak ślk. Pan adwokat

sze śmieje i powiada, że zna dobrze pismo doktora B. i że to jest kartka sfalszowana... Może być; ale dla mnie to była kartka od doktora; sam Balaban mi ją dal, a na kartce nie stało, żebym ja szukał na niej fałszu, bo ja nie jestem sąd, — tylko stało, żebym postawił bańki, jako felczer... To jest mój fach. Dyabli wiedzą, może ta kartka nie jest prawdziwa, może ona nawet całkiem fałszywa... nawet teraz, jak mi pan adwokat powiedział, to już jestem prawie pewny, że fałszywa; ale co ja temu winien? Owszem, niech łapią fałszownika, niech go wpakują do kozy!... Kto sfalszował? — Wojtek; ale, że Wojtek nie żyje, niech szukają dalej, niech biorą Wojtkową — to cyganka, paskudna baba; można śmiało powiedzieć, że ona tylko fałszem żyje... Oj, oj, proszę pana adwokata, jakie teraz czasy! jaki teraz świat!... co się z chłopami porobiło!... Dawniej ich było można oszukać, dziś oni wszystkich oszukają... Kto kiedy slyszal, żeby chłop fałszerstwem się trudnił? — a dziś oni handlują fałszowaniem mlekiem, fałszowaniem masłem; teraz już fałszują nawet kartki doktorskie! Ale co mnie do tego?... Ja nie jestem prokurator, ani obrońca Wojtkowej; ja wiem, że kartkę mi dal Wojtek... a z kąd Wojtek ją wziął, niech Wojtkowej pytają. Ja tylko chcę swojej sprawy bronić i spokojnie żyć. Mam na wszystko świadków, mam pana adwokata... Ha? pan adwokat robi mi trochę nadziei? Pierwsza instancja... Nu, ja, choć felczer jestem, nie slyszalem, żeby od pierwszej instancji kto umarł... Apelacja, druga instancja, potem jeszcze kawalek kasacyi... Panie adwokacie, moje świadki pewne, porządni obywatele, żadnego oszukaństwa nie robią... niech tylko pan adwokat pięknie gada. Tymczasem ja daję zadatek... Kiedy pan adwokat każe przyjść? Dobrze ja przyjdę... Padam do nóg... do widzenia... (Chce wychodzić, po chwili zawraca).

Panie adwokacie, jeszcze jedno słowo... Doktor będzie dużo na mnie gadał przed sądem... On ma paskudną gębę, on będzie wymyślał różne plotki na mnie... Zawzięty, aj, jaki on zawzięty! Ciągłe się odgraża!... On powie, że jak Mendel Kalakuckier miał do wojska iść to ja zrobiłem mu ranę na nodze... Niech się pan adwokat zapyta, gdzie na to dowód jest? Mendel Kalakuckier od urodzenia na nogę chorował — to mogą jego matka i jego żona i cała familia jego przyświadczyć... Doktor powie, że zeszłego roku ja szczepilem chłopom ospę, że się wcale nie chciała przy-

jąć. Niech go pan adwokat zapyta: w którym kodeksie stoi, żeby się każde szczepienie przyjęło? Doktor powie, że ja jestem truciiciel, co utrzymuję u siebie materiały apteczne, piszę recept... on powie... albo ja wiem? On może powiedzieć, że ja kogo zabiłem na gościńcu, że konia ukradł, że komu stodołę podpalił... On wszystko może pleść... ale ja myślę, że pan adwokat wytłomaczy jemu, że w kodeksie stoi cały artykuł o potwarz i o dyfamację i że za taki interes można też do kozy pójść. Zresztą niech pan adwokat mówi, co chce, aby było git. Ja za moich świadków ręczę — to porządni obywatele; skoro raz się zgodzili, to nie robią zawodu ani oszukaństwa... Panie adwokacie, to jest czysta sprawa, jak szkło — w niej nie może być żadna dyferencja. O co chodzi — o bańki i o plecy! Wielka rzecz? Co komu do tego? Czy to były sądowe plecy? czy doktorskie plecy? Nie, to były plecy Wojtkowe — Wojtek miał prawo zrobić z niemi, co sam tylko chciał... Co komu do Wojtkowych pleców?!

ROZMAITOŚCI.

* **Szczególni sprzymierzeńcy.** W Marmalade, miejscowości na wyspie Haiti, posługiwali się obywatele z wielkiem powodzeniem osami w walce z powstańcami. Zatrąbiono do ataku. Atakujące oddziały w oczekiwaniu łatwego zwycięstwa i wielkiego łupu, stały w szyku bojowym u stóp pagórka, gdy nagle stoczono na nie kilka beczek od cukru, napelnionych osami.

Beczki na dole, wskutek silnego uderzenia, rozpadły się, owady, podrażnione silnem wstrząśnieniem, rzuciły się z gwałtowną wściekłością na żołnierzy, którym ani bagnety, ani karabiny nie pomódz nie mogły.

Żołnierze bronili się przez chwilę, następnie zaś wyrzekli się nierównej walki, rozbiegli się na wszystkie strony i pole walki zostawili osom.

O zupełnie podobnem wydarzeniu doniesiono prawie równocześnie z St. Mèen we Francji.

Mieszkańcy tej miejscowości użyli pewnej ilości uli, aby przestraszyć żandarmów, którzy przybyli zamykać szkoły zakonne, a metoda ta miała ten sam skutek, co na wyspie Haiti. Mieszkańcy z St. Mèen umieścili ule w pszczołami w barykadach, które żandarmi musieli usuwać przed dostaniem się do szkoły.

Używanie kłujących owadów w wojnie nie jest najnowszym wynalazkiem.

Historja opowiada, że za czasów Mitrydatesa legionistom rzymskim dokuczały bardzo pszczoły, a z późniejszych stuleci, że wojska Mahometa II., gdy walczyły w Morei, znalazły silny opór wskutek tego, że wieśniacy rzucali na nie łatwo pękającymi workami, napelnionymi bakami.

W bitwie pod Cawnpore poniósł dziewiąty pułk lansyerów angielskich klęskę przez rój pszczół. W celu obrony wioski, ustawiono palisady, na których umieszczono ule. Jeden z młodych oficerów zaczął je rozbijać szablą. Skutek był ten, że powstało ogromne zamieszanie podczas bitwy, gdyż dalsze linie przypuszczały, że uciekających ściga ogromna przemoc.

Podczas wojny w Hiszpanii, bezpośrednio po przegranej przez Anglików bitwie pod Almanzą, uciekła cała armia przed tarantulami. Trzy pułki angielskie dostały się na obszerne, formalnie tarantulami usiane pole. Owady rzuciły się nagle w masach na żołnierzy, których mnóstwo odniosło śmiertelne ukąszenia. Pierwszymi, którzy się rzucili do ucieczki, byli portugalscy sprzymierzeńcy Anglików. Uciekali z głośnymi okrzykami:

— Tarantella! Tarantella!

Za nimi zaczęli uciekać Niemcy, a następnie Anglicy, którzy zaklinali się na wszystkie świętości, że zjedzą z kośćmi wszystkich Hiszpanów na całym świecie, ale za żadne pieniądze nie będą walczyli z pajakami.

Olbrzymie podzwrotnikowe świecące chrząszcze, tak liczne na niżej położonych wyspach zachodnio-indyjskich, uratowały raz miasto San Domingo.

Piraci (rozbójnicy morsey) mieli zamiar napasać na miasto w nocy w celu wymordowania mieszkańców i zabrania bogatego łupu. Gdy na licznych łodziach zbliżali się do miasta, spostrzegli, przysunawszy się do brzegów, mnóstwo poruszających się światła; myśląc, że mieszkańców ktoś ostrzegł i że są gotowi do obrony, wrócili czempredzej na swoje okręty.

* **Rybki ludożercze.** Podczas dni upalnych przyjemnie było używać kąpieli w czystych wodach jeziora. Wszyscy członkowie rodziny don Pabla kąpali się bardzo często, a Guapo przebywał nieraz wpław jezioro, chcąc dostać się na przeciwny brzeg i nikt nie podejrzewał niebezpieczeństw, które spotykały na dnie wody. Aż razu pewnego Leon, nie czekając na starszych, sam rozebrał się i wskoczył do wody. Umiał już niezłe pływać, więc pływał z początku blisko brzegu, powoli ośmieliwszy się, posuwał się coraz dalej i dalej. Naraz poczuł on ból dość dotkliwy w rozmaitych częściach ciała, a woda dokoła zabarwiła się krwią. Leon nie mógł wstrzymać się od krzyku. Posłyszawszy głos dziecka, nadbiegli rodzice i za chwilę wydobyli krzaczącego przerażliwie chłopca z wody. Okazało się, że ciało jego pokryte było wielu rankami, z których krew płynęła i dostrzeżono ławę drobnych szarych rybek, z brzuskami ceglastego koloru, które z pyszczkami rozdziawionymi gonili za Leonkiem, a potem gryzły po nogach don Pabla i Guapa.

— A, to są karibity, ludożercze rybki — zawołał Guapo. — Gdybyśmy nie nadbiegli na pomoc Leonkowi, mogłyby go były na sztuki rozszarpać.

* **Niezwykłe hotele.** W okolicy Santa Cruz w Kalifornii w Ameryce północnej znajduje się jeden nadzwyczajny hotel. Właściciel jego nie nie wydał na budowlę i nie płaci żadnych podatków.

Hotel ten składa się z pewnej liczby olbrzymich drzew, w jakie obfituje Kalifornia. Największe, mające 22 stóp obwodu, zostało urządzone na sa-

lon i zaopatrzone w światło elektryczne i wszelkie potrzeby nowoczesnych wygod. Pokoje sypialne i jadalne umeblowane są wspaniale i zajmują sąsiednie drzewa. W dalszych mieszczą się urzędnicy i służba hotelowa.

Setki zwiedzających przybywa do tego niepospolitego hotelu w ciągu każdego tygodnia letniej pory.

Innego rodzaju hotel znajduje się w Eisenberg w Szwajcarii. Ci, co są skłonni do zawrotów głowy, powinni unikać tego hotelu gdyż położony jest w krainie chmur, 1000 stóp nad ziemią. Dwudziestu przeszło gości może naraz w nim mieszkać. Balon przynosi ich ze stacyi kolei żelaznej znajdującej się poniżej na ziemi. Hotel zawieszony jest na ośmiu balonach, które co pewien określony przeciąg czasu spuszcza się na ziemię dla wyładowania gości odjeżdżających, a wladowania gości przybywających. Można sobie wyobrazić, jak piękny jest widok zachodu słońca z takiej wysokości i jakie hotel przynosi zyski właścicielowi.

Koło Perdun, w południowej Francji istnieje hotel podmorski, gęsto nawiedzany w lecie. Budynek jest ze stali na silnych fundamentach, przez wielkie szyby szklane goście oglądają piękności życia morskiego w głębi 36 stóp w morzu. Dziwacznie urządzona maszynerya dostarcza powietrza ze zewnątrz i wypompowuje już zużyte przez rury. W tym hotelu przebywał powieściopisarz francuski Richebourg, gdy pisał najciekawsze ze swych powieści.

Również niezwykle jest hotel dla zwiedzających kopalnie węgla w St. Pierre w Mont we Francji. Hotel to podziemny, wykuty w czystym węglu w głębokości 600 stóp pod ziemią.

Elektryczne światło, ślizgające się po wygładzonych, błyszczących a czarnych ścianach, nie pokrytych umyślnie tapetami sprawia niepospolite wrażenie. Wspaniale urządzone salony i sypialnie posiadają wszelkie wygod.

Prócz tego znajduje się w hotelu basen czyli wielki zbiornik wody do pływania, do którego podziemne źródło dostarcza wody. Zeszłego roku zwiedziło ten hotel 1200 gości.

ŻARTY.

Prawdopodobne. — Przez Boga, patrz, tam wisi ktoś na drzewie.

— Daj mu spokój! Przed kwadranssem rzucił się do wody, ale go uratowałem, zapewne powiesił się, aby przeschnąć.

* * *

Trafna odpowiedź. Pan: No cóż tam słyszał żydzie?

Zyd: Ny proszę wielmożnego pana, co prawda to nie nie słyszał, a co słyszał to nieprawda.

* * *

Na ulicy. — Jak się masz!... Słyszałem, że miałeś narzeczoną?

— Tak, ale już wyszła zamał...

— Za kogo, mój drogi?

— A no, niby — za mnie.

